

Stasiewicz, Krystyna

Moje wspomnienie

Komunikaty Mazursko-Warmińskie 4, 570-572

2010

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

MOJE WSPOMNIENIE

Ksiądz Ałojzego Szorca poznałam ponad 30 lat temu. Zdecydował o tym przypadek. Zrobiłam doktorat z literatury staropolskiej i poszukiwałam osoby o podobnych zainteresowaniach. Od kolegi z pracy, Józefa Bagińskiego, dowiedziałam się o benedyktynie Ambrozji Kalinowskiej, która zajmowała się Stanisławem Reszką i zatrudniona była w Pracowni Hozjańskiej na Kopernika 47. Wybrałam się tam z wizytą. W trakcie naszej rozmowy do pokoju wszedł energicznym krokiem wysoki ksiądz o rumianej, uśmiechniętej twarzy, ubrany w garnitur i koszulę z koloratką (w tamtych latach widywano księży najczęściej w sutannach). Był to szef Pracowni Hozjańskiej, ks. dr Ałojzy Szorc. Nastąpiła prezentacja. Ksiądz usiadł przy stole i zajął się swoimi papierami. Kiedy jednak usłyszał, że jestem uczennicą znakomitego edytora, prof. Konrada Górskiego, włączył się do rozmowy. Głos miękki, „ł” przedniojęzykowo-zębowe, łatwość nawiązywania kontaktu, kresowa dusza – pomyślałam – i nie pomyliłam się. Tak rozpoczęła się nasza znajomość. Z czasem wciągnął mnie w edytorstwo. Dał do opracowania przywiezione z kwereń szwedzkich listy polskojęzyczne z wtrętami łacińskimi Tomasza Płazy do Marcina Kromera. Zadanie było trudne nawet dla polonisty. Szorc potrzebował kogoś, kto znałby się na polskich rękopisach. Sam świetnie czytał teksty łacińskie, ale w przygotowywanej do druku korespondencji Stanisława Hozjusza pojawiać się zaczynały teksty polskojęzyczne, z którymi słabo sobie radził.

Byłam świadkiem rozwoju kariery kościelnej i naukowej ks. Ałojzego, Jego adaptacji do naukowego kręgu ludzi świeckich. W latach 80. ubiegłego stulecia świeccy i duchowni przyglądali się sobie uważnie, nie zawsze wiedzieli, jak się do siebie zwracać. Pamiętam, jak na obronie pracy doktorskiej siostry Ambrozji na Uniwersytecie Warszawskim, Szorc zwracał się do dziekana Zbigniewa Sudolskiego per „panie prezesie”, a profesor do Niego „proszę pana”.

Ksiądz Ałojzy jako jeden z nielicznych duchownych w Olsztynie zrobił habilitację. Kolokwium odbyło się na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu w 1988 r. Bał się kolokwium, bo nie był przecież prawnikiem, ale wówczas atmosfera sprzyjała duchownym. Złamano nawet obowiązującą zasadę zamkniętego dla postronnych osób kolokwium, i na drugą jego część, dzięki staraniom profesora Zbigniewa Żdrójkowskiego, a może i prodziekana Andrzeja Borodo, wywodzącego się z Olsztyna, wpuszczono do sali rodzinę Habilitanta oraz cztery osoby z Olsztyna: rektora seminarium Kazimierza Torłę, ks. Juliana Żołnierkiewicza, Jerzego Sikorskiego i mnie. Zatwierdzenie habilitacji przez Centralną Komisję Kwalifikacyjną odbyło się dopiero po dostarczeniu drukowanej pracy, 12 września 1991 r.

Ceniłam walory Jego umysłu i nazywałam Go Wielki. W rok później, kiedy byłam już doktorem habilitowanym, namawiałam ks. Ałojzego, aby podjął pracę w Wyższej Szkole Pedagogicznej. Zapalił się do tego pomysłu i zgodził się na wizytę u rektora Stanisława Szteyna. W ostatniej chwili zdezerterował. W przeddzień spotkania, wieczorem, przyszedł do mnie i oświadczył, że nie zamierza u nas pracować, bo dokuczano by mu w seminarium. Postawił mnie w trudnej sytuacji. W poniedziałkowy rano, z bijącym sercem, poszłam do rektora z przeprosinami. Ale w dwa lata później, kiedy rektorem był Andrzej Staniszewski, Szorc podjął pracę na Wydziale Humanistycz-

nym WSP, w kierowanym przeze mnie Zakładzie Literatury Staropolskiej i Oświecenia. Tęsknił za zajęciami na historii. Skontaktowałam się z dyrektorem Instytutu Historii prof. Józefem Śliwińskim w tej sprawie. I takim to sposobem ks. Szorc przeniósł się na historię.

Spotykaliśmy się na radach wydziału, konferencjach. Był nietypowym księdzem, jowialnym, uśmiechniętym, którego świeccy, wierzący i niewierzący, lubili, a nawet wybaczały mu wpadki, kiedy nie przygotował referatu. Pamiętam jak na konferencję o obyczajach czasów saskich przyjechał bez tekstu. Myślałam, że będzie mówił z pamięci, a tu Szorc wyjmuje z przepaścistej teczki, swego podręcznego archiwum, kodeks i daje do czytania siedzącej obok prof. Karolinie Targosz z uwagą: „tu są ciekawe materiały o obyczajach!” Barwne sformułowania ks. Alojzego, komizm sytuacji, słowny czy semantyczny bawiły słuchaczy, rozprasały ponurą atmosferę zebrań, rozładowały napiętą sytuację. Na jednej z konferencji w Waszecie koło Olsztyńka powiedział, że ze Stachem (tu wskazał na profesora Achremczyka) pojechali do Braniewa i zaszli do jednej pani na Klonową. Panowie zaczęli trącać się łokciami i pytać Achremczyka, pod którym to było numerem, a ten zakłopotany powiedział, że to nie było tak, jak myślą. Poszli do biblioteki na spotkanie z panią dyrektor (była to notabene ulica Botaniczna a nie Klonowa). Innym razem na radzie Wydziału Humanistycznego podczas referowania przez dziekana Norberta Kasparka sprawy zatrudnienia Roberta Lee (wymowa Li) Szorc zapytał, czy to ktoś ze Wschodu? Zabawna scenka miała też miejsce na posiedzeniu Senatu UWM podczas referowania przez prorektora Jana Jankowskiego zawitych spraw finansowych. Wstał Szorc jako dziekan Wydziału Teologii i bijąc się głośno w piersi powiedział: „Panie rektorze, jak Boga kocham, ale ja tego nie rozumiem!” Jankowski zaniemówił, a senatorowie płakali ze śmiechu. Ksiądz Alojzy umiał też zapraszać w sposób niekonwencjonalny. Kiedy przy ludziach, śmiejąc się serdecznie, powiedział do mnie: „za pokutę przyjdiesz na moje imieniny”. Świadkowie zazdrościli mi takiej pokuty!

A imieniny Alojzego przypadające na pierwszy dzień lata, 21 czerwca, były wesołe. Na ulicę Smełka, później Pana Tadeusza, szły do solenizanta procesje duchownych i świeckich, mężczyzn i kobiet, młodych i starszych, a gospodarz w koszuli z rozchełstany kolarzykiem, rozpiętymi lub podwiniętymi rękawami przyjmował wszystkich serdecznie, sadzał na zwalnijące się miejsca i z kociołka nabierał kolejną salaterkę własnoręcznie przygotowanego bigosu, donosił kiełbasę, chleb i musztardę, a w alkoholach goście mogli przebierać jak w ulęgalkach. Solenizant gawędził, bawił gości kawałami, podśpiewywał, palił papierosy.

Takiego pełnego fantazji, wesołego księdza zapamiętali świeccy. Kiedy poznałam Go bliżej, okazało się, że jest człowiekiem pełnym wewnętrznych sprzeczności: otwarty, ale także skryty, wesoły, ale popadający również w melancholię, towarzyski, a jednocześnie ceniący ciszę, uporządkowany naukowo – nieterminowy w wykonywaniu, niechętny stanowiskom administracyjnym, które jednak obejmował. Cechy te w tej skomplikowanej naturze były połączone na zasadzie *concors discordia*.

Władysław Szorc mówił mi, że jego brat, jako przodownik nauki, mógł wybierać uczelnie. Wybrał medycynę, ale był tu krótko, bo nie mógł przebrnąć przez prosektorium i postanowił wstąpić do seminarium duchownego. Ale o tym, że chce być księdzem rodzina dowiedziała się wówczas, kiedy po obłóczynach przyjechał w sutannie do rodzinnego domu.

Lubił przebywać wśród ludzi, ale najlepiej się czuł, gdy mógł zostać sam. Przyznawał, że być może jest to defekt psychiczny, ale taki już jest.

Zapraszany w gościnę bawił się dobrze i był duszą towarzystwa, ale potrafił wśród najlepszej zabawy nagle wstać i wyjść bez pożegnania z gośćmi ku zdziwieniu gospodarza.

Komuś postronnemu mogło się wydawać, że czytanie łacińskich źródeł, pisanie prac szło mu jak z płatka. To tylko pozory. Niejednokrotnie mocował się z rozgryzaniem trudnych problemów, a kiedy się powiodło, to jak mawiał, szedł za ciosem.

Źle znosił niepowodzenia. Sam pisał surowe recenzje, ale krytyka Jego prac sprawiała Mu przykrość. Liczył na reelekcję, ale kiedy wybrano innego dziekana, przeniósł się na Wydział Humanistyczny.

Ciągle potrzebował kogoś, kto czuwałby nad sprawami codziennymi. Pomagały mu kobiety: siostra Ambrozja Kalinowska, Lucyna Józsiuk i Irena Makarczyk. Bał się samotności starego człowieka, odstawionego na boczny tor, zapominanego. Mówił mi kiedyś, że jakoś trzeba będzie sobie radzić. „Mam chatę, prywatną kaplicę, stołówkę w seminarium, kilku znajomych lekarzy”. Po siedemdziesiątce bardzo się zmienił. Opuszczał go dobry humor, nie robił imienin, stronił od ludzi Mu życzliwych, irytowali Go studenci. Zaczął chorować, zrobił się otyły. Prawdziwym narkotykiem pozostała praca naukowa.

Zmarł we śnie. Odszedł bez pożegnania, tak jak potrafił robić w trakcie wesołego przyjęcia, wprowadzając zebranych w osłupienie. Nie do wszystkich dociera prawda, że już Go wśród nas nie ma. Jest w pamięci tych, którzy Go znali, a kiedy i tych zabraknie, zostaną wydane przez Niego źródła, najtrwalszy pomnik każdego uczonego.

Krystyna Stasiewicz